Rok IV. Myślenice, wrzesień—grudzień 1935. Nr. 1/2.

GŁOS MŁODYCH

ORGAN GMINY SZKOLNEJ PAŃSTW. GIMNAZJUM KOEDUKACYJNEGO
im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI w MYŚLENICACH.

W radosne święto Miłości.

Chrystus się narodził!

W dalekiej, betlejemskiej stajence leży Dziecię, Człowiek—Bóg, co rozpiętemi na krzyżu ramionami obejmie miłośnie świat cały, rzuci w serca ludzkie posiew miłości bliźniego i w imię tej miłości każe dzielić się swem mieniem z ubogimi, by napoić i nakarmić tych, co spragnieni i głodni.

Na falach rozśpiewanych dzwonów kościelnych płynie przez cichy, otulony śniegiem świat—biały anioł miłości i pokoju. Pod obrusem chrzęści święte siano, biały opłatek łączy bratnie serca, ciepłe tchnienie wieje nad roześmianym, wigilijnym stołem. Rozśpiewane tłumy łączą na pasterce swe radosne głosy z chórami anielskiemi: „Glorja! Glorja!...“

W mrocznej, wilgotnej suterenie na krańcach miasta umiera z głodu—dziecko. W ciemnym zaułku przy koleżeńskim porachunku bandyta wbija nóż w serce towarzysza — apasza... Za chwilę, w dniu wigilijnym stanie przed sądem Bożym człowiek, który nie miał własnej wilji. A gdy w blasku choinki, wśród kolendowych pieśni snuć będziecie swe młodzieńcze, wiośniane rojenia, na cichem gdzieś poddaszu umiera może stara żebraczka, której dawno zgasły sny młodzieńcze, której świat zabrał brutalnie to wszystko, co wymarzyła ongiś w swej duszy. Nie chciała od niego wiele, może odrobinę tylko ciepła a on był dla niej tak okrutnie zimny!...

Czyż można patrzeć spokojnie, jak ludzie z głodu i nędzy zapominają o Tym, który ich najwięcej ukochał i największej uczy miłości—o Bogu? Jak goryczą życia wyhodowana nienawiść pcha ich ku zbrodni?

Nie pozwólcie, by padające w głuchą pustkę dziecięce wołania: „Mamo, chleba!" pozostawały bez odpowiedzi!

Do pustych słów, głoszących miłość bliźniego i posłuszeństwo Chrystusowym przykazaniom dołączcie swe czyny, swe małe, młodzieńcze grosze!

... bo wiedźcie, że Chrystus tak kazał,

... bo wiedźcie, że czarna łapa głodu zakrywa przed ludźmi wszystko to, co piękne i wzniosłe na świecie,

... bo wiedźcie wreszcie, że z głodnych rówieśników waszych wyrosną kiedyś wasi wrogowie, wrogowie społeczeństwa.

Dajcie dzieciom ubogim chleba! Dajcie im to, co wam zbywa.

W najradośniejsze święto pamiętajcie o biednych i bezrobotnych, o posępnych suterenach i poddaszach, o brudnych i wychudzonych rękach, które napróżno wyciągają się może po skibkę chleba w dzień Bożego Narodzenia, w radosne święto Miłości!!

Jerzy Kaciński. (VII.)

Już czas!

Już czas! Odrzućmy precz
Marzenia, baśnie, sny,
Niech ręka ima twardy miecz
Niech wyschną zwątpień łzy!
Niech młody czyn rozbłyśnie pośród nas,
Egoizm precz! — już czas!

Gdy dąb spróchniały wiekiem lat
Opuszcza gałęzie — ręce,
Z toporem w ręku czeka nań kat,
Wycina, kładąc kres męce—
I chroni przez to cały las.
Bezczynne próchno — usunąć czas!

Na starym dziejów zegarze
Godzina wielkiej bije nam pracy.
W jedności dążeń, w miłości żarze
Zerwijmy się ku niej, bracia—Polacy!
Hej w zgodzie, w zgodzie chociaż raz
Budujmy szczęście — wszak już czas!

A gdy tak silni, tak rozumni
Wykreślim wielki i potężny szlak,
Nazwany Polską, staniemy w niej dumni,
Bo któż Ją zmoże — zwycięży — jak??
Do czynu więc młodzi, świeżych pełni kras,
Przed nami żniwo — wszak już czas!

K. Odrowąż (VIII)

Morze.

(Ze wspomnień wakacyjnych.)

Morze! Na dźwięk tego słowa przed oczyma staje mi obraz wspaniały, niezatarty nigdy w mojej pamięci.

Jest wieczór. Wiatr od morza ostry i przenikliwy dmie uparcie. Morze jest wzburzone. Szaro — srebrne fale gonią jedna za drugą, przeskakując się tuż u brzegu, pienią się ze złości, ryczą groźnie i ogłuszająco, by za chwilę rozlać się cicho na piaskach.

Mleczna mgła zwiesza się nad wodą i muska ją swym wilgotnym grzbietem. Zdala we mgle szarzeją sylwetki łodzi rybackich i kręcących się nad brzegiem Kaszubów.

Stoję w białym, morskim piasku i pieszczę oko tym groźnym widokiem. I nagle przyszła mi szalona ochota przekonać się, czy też ta woda morska jest naprawdę słona, jak to ludzie mówią, czy też nie. Nie namyślając się wiele, podbiegam do brzegu, nachylam się nad wodą i już otwieram usta, kiedy nagle fala, sama mnie wyręczając, podpłynęła niespodzianie ku mnie i zalała całą moją postać. Teraz mogłabym już przysiąc, że woda morska jest słona.

Takie było moje pierwsze powitanie z Bałtykiem.

* * *

Statek wolno posuwa się po wzburzonem morzu. Ciemno-zielone fale wypływają hen aż z za widnokręgu i zbliżając się, uderzają o burtę

statku, gdzie kłębiąc się rozpryskują na drobne kropelki. Od czasu do czasu na zachmurzone niebo wysuwa się słońce i blaskiem swym srebrzy grzbiety fal, które pod jego promieniami mienią się tak migotliwie, że aż oczy mrużę i z zachwytem gonię wzrokiem ich ruchy. Białe mewy opadają tak nisko nad wodę, że piórkami muskają jej powierzchnię, by za chwilę wznieść się znów tak wysoko, że ledwie można je okiem wypatrzeć.

Lecz niedługo poiłam się tym widokiem, bo nagle wyrwana zostałam z tej ekstazy w niezbyt miły sposób. Oto jedna z fal uderzyła o burtę, przeskoczyła ją—i zlała mnie od stóp do głów. Choć zrobiło mi się zimno, byłam tą przygodą rozweselona. Roześmiana zwróciłam wzrok w inną stronę i zobaczyłam ku memu wielkiemu zmartwieniu, że ta czarowna podróż kończy się. Przed nami widniał półwysep Hel, a statek dopływał do portu.

* * *

I nadszedł dzień, w którym miałam się pożegnać może na dłuższy czas z tem naszem ukochanem a tak burzliwem morzem. Z jakim żalem poszłam ostatni raz na brzeg. Jakiż był mój zachwyt gdy ujrzałam, że tafla wody mleczno-błękitna jest tym razem spokojna. Ani jedna zmarszczka nie zakłócała spokoju.

Krwawo zachodzące słońce odbijało się we wodzie ciemnemi barwami jak w zwierciadle. Cisza dookoła. Od czasu do czasu przerywały ją tylko okrzyki dzieci kaszubskich, które zadowolone ze spokojnej wody, puszczały „kaczki“.

Patrząc na to morskie cudo, mimowoli zamarzyłam się. Na usta nasunęła mi się znana piosenka:

„Morze, tak bliskie nam jak własna krew,
Piękne spokojne — lub gdy marszczy brew.

i było mi tak dobrze, tak dobrze. Byłam szczęśliwa!...

Z. Udzielanka (VI.)

W kresowym dworku.

Obrazek z wielkiej wojny.

„Zimno, deszcz, okropna pogoda“ — mówi pan Żarnawski do żony i córki, wchodząc do pokoju. „Jak to dobrze że już jestem w domu. Oleńko, przygotuj kolację, strasznie jestem głodny“.

„Zaraz tatusiu, tymczasem odpocznij" — to mówiąc, Oleńka podsunęła ojcu fotel i wyszła z pokoju.

Za chwilę cała rodzina spożywała kolację, przygotowaną rękami ukochanej, teraz jedynej córki.

„Taka okropna pogoda, co tam nasi chłopcy robią, czy też mają gdzie schronić się przed deszczem i zimnem — pytała zafrasowana pani Żarnawska.

„Czy aby tylko zdrowi? — pyta się Oleńka, nie chcąc wymówić tego okropnego słowa, o którem zresztą nikt nawet myśleć nie chce, słowa: zabici, nie żyją. I po tem pytaniu jakaś dziwna cisza zaległa pokój, cisza — zda się — wieki trwająca, dla wszystkich tak ciężka, nieznośna, a nikt nie mógł zdobyć się na to, żeby ją przerwać.

Wtem przerwało ją nagle szczekanie psów, potem turkot bryczki, głośny, coraz głośniejszy. Wreszcie turkot ucichł, bryczka stanęła, tylko szczekanie psów stało się głośniejsze.

„Co to? kto to być może? teraz, o tej porze?" — z niepokojem zawołał pan Żarnawski, wychodząc z pokoju. Pozostały w nim dwie przestraszone niewiasty. Wiedziały one dobrze, co za goście mogliby tu przyjechać i to jeszcze z taką wrzawą. Jakieś dziwne przeczucie mówiło im, że dzisiaj, za chwilę stanie się tu coś niezwykłego, że ci ludzie, co teraz wejdą, przyniosą im albo nieszczęście albo wielkie szczęście. Ścisnęły się serca. Czekały...

W sieni dały się słyszeć czyjeś kroki i rozmowa. Oleńka nadsłuchując, niespokojnie patrzyła na matkę. Wiedziała, że jedno usłyszane słowo da rozstrzygnięcie. Jeżeli usłyszy słowo rosyjskie — ach, o tem nawet nie chciała myśleć — więc znowu wrogowie, znowu ci Moskale, przed którymi trzeba udawać grzeczność a maskować nienawiść. I nagle...

„Oleńko, co ci? — krzyknęła matka, chwytając słaniającą się, śmiertelnie bladą córkę. „Mamo, Moskale!" — zdołała tylko wypowiedzieć i bez sił padła na fotel. I rzeczywiście, za chwilę weszli Moskale.

„Zdrastwujte, baryni — powitali panią domu — wot zdieś majem kwartiru".

Gospodyni uśmiechnęła się z przymusem i wskazując krzesła, rzekła: „Proszę usiąść."

Pan domu kazał służbie wnieść posiłek i zapraszając niemiłych gości do stołu, zapytał: „W jaki sposób znaleźliście się w naszej okolicy?"

„Germańcy napierają na naszą armję, więc cofamy się“—odpowiedział jeden z nich — „cała ta wojna, panie, jest nam zupełnie obojętna, życzylibyśmy wam nawet zwycięstwa.“

„Czyście panowie nie spotkali się z polskiemi oddziałami, które maszerują z Niemcami? — zapytała ośmielona już pani Żarnawska, chcąc dowiedzieć się czegoś o swych kochanych chłopcach.

„Jakiś oddział legjonistów idzie w przedniej straży“ — odrzekł Rosjanin — „i może wkrótce tu już nadejdzie.“

Gospodarz odetchnął z ulgą i z lepszą otuchą częstował swych gości w nadzieji, ze ich pobyt wobec pościgu legjonistów nie potrwa zbyt długo.

„Wot barin“ —mówili dalej Moskale—„wojna już tak się nam uprzykrzyła, że chętnie oddamy się w niewolę. Dobrze, że w przedniej straży idą Polacy, bo ci nam nic złego nie uczynią.“

Potem długo i szeroko poczęli opowiadać o tej nieszczęsnej wojnie, która wydarła ich z pośród rodziny i pognała w daleki świat, każąc się bić za sprawę zgoła dla nich niepojętą. Mówili o drodze, jaką przebyli z poza Uralu aż hen po Karpaty. gdzie mnogie ich tysiące znalazły grób w obcej, nieznanej ziemi.

Cała rodzina, zebrana przy stole, przysłuchiwała się tym smutnym opowieściom, myśląc równocześnie z boleścią i trwogą o swych najbliższych. Chwilami niejasna nadzieja zakwitała im w sercach, że może w tym nadciągającym oddziale znajdą się ich najdrożsi.

Oleńka nie ocknęła się jeszcze całkiem z przerażenia, lecz oczy jej zdawały się uśmiechać ku jakiejś dalekiej nadzieji. Wrażliwą jej duszą wstrząsały przeczucia. Nagle wyszła, pobiegła do swego pokoiku i tam rzuciwszy się na kolana przed krucyfiksem, zaczęła się gorąco modlić. Za chwilę wróciła z twarzą, rozjaśnioną nadzieją.

W tej chwili w całej wiosce wszczął się niesłychany hałas i zgiełk. Psy szczekały zawzięcie, a po chwili dał się słyszeć tętent koni. Ktoś pędził ku domowi.

Żołnierze rosyjscy blednąc porwali się ze swych miejsc i z trwogą spoglądali na drzwi.

„To pewnie podjazd germański“ — rzekł pan domu—„ukryjcie się tutaj, w przyległym pokoju. Jeżeli to będą Polacy, to oddacie się im w niewolę, jeżeli zaś Niemcy, to możecie stamtąd przez okno wyskoczyć i skryć się w zbożu.

Na ganku zabrzękła broń i do pokoju wpadło kilku żołnierzy.

Dwóch z nich rzucając szable na ziemię, przypadło do nóg gospodarzy.

„Ojcze! Matko!!"

„Dzieci nasze!!„

Raz po raz powtarzały się wykrzykniki.

Był to oddział legjonistów– a wśród nich obaj młodzi Żarnawscy. Po chwili wybuchowej radości rzekł do nich ojciec z uśmiechem:

„Dzieci moje i ja, choć nie wojuję, wziąłem do niewoli czterech Moskali." Mówiąc to, otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, w którym stali rosyjscy żołnierze.

„Ot, zdajem sia w plen!" — zawołali, podnosząc ręce.

„Ha! ha! ha!"—śmiała się brać legjonowa, „no, chodźcie bliżej, odtąd nie jesteśmy już wrogami, tylko ludźmi — braćmi.

„Sława Bohu"—rzekli Moskale — „ot, i koniec naszemu wojowaniu."

Na drugi dzień wyjeżdżał ze wsi mały oddział żołnierzy rosyjskich ku zachodowi.

A cichy dworek państwa Żarnawskich rozbrzmiał radością i weselem.

Z radosną dumą słuchają rodzice nieskończonych opowiadań chłopców o legjonowych bojach, słucha ich szczęśliwa Oleńka, jak w tęczę zapatrzona w bohaterskich braci.

R. H. (VI.)

Baśń młodości.

Bajka.

...Zosi się zdawało, że to była bajka — lecz... nie, to musiała być najoczywistsza prawda. Naturalnie, to była prawda...

— —

Słońce już zachodziło i ostatnie jego promienie załamywały się na warownych murach potężnego zamku, kiedy orszak królewski stanął u wrót. Przed orszak wysunął się trębacz królewski na białym rumaku i nabrawszy w płuca powietrza — zadął po trzykroć.

Natychmiast na murze ukazał się rycerz w hełmie na głowie i z długim oszczepem w ręku, przysłonił oczy dłonią i spojrzał na znaki przyjeżdżających. Poznał orszak królewski. Pędem zbiegł na dół i wydał rozkazy. A już na murze ukazał się trębacz zamkowy i odpowiedział. Nie upłynął jeden pacierz, jak zadudniły kopyta po zwodzonym moście — orszak królewski mijał bramę. Dwa rzędy trębaczy zamkowych fanfarą witały swą panią, służba i załoga, szeregami stojąc, oddawała cześć.

Tymczasem królewna (bo w orszaku królewskim znajdowała się tylko królewna w otoczeniu przedniejszych rycerzy państwa) wchodziła do komnat, zachwycona ich przepychem. Tak tu było cudnie i wspaniale jak ...w bajce. Oddrzwia miały złote kute zawiasy, podłoga była wykonana z najlepszego na świecie drzewa. Łoże królewny było ze srebra i złota pod baldachimem ze złotej lamy. Wszystko świeciło się od złota, srebra i drogich, zamorskich kamieni. Olbrzymie zwierciadło ze srebra odbijało zgrabną postać przecudnej księżniczki.

„To wszystkie moje“ — szeptała z zachwytem, dotykając małemi i wypieszczonemi rękami złotych okuć, wspaniałych lichtarzy i marmurowych figurek, stojących na olbrzymim kominku.

Przez otwarte okna, gdzie były oprawione grube i niezgrabne szyby w ołów, padał blask pochodni, palących się na podworcu. Wszystko to było miłe, wspaniałe i zachwycające. Królewna nie mogła wyjść z podziwu.

„To wszystko dla mnie“ — radowało się jej serduszko.

Tak, to ojciec królewny podarował jej ten przepyszny zamek, gdzie miała się spotkać ze swym narzeczonym, królewiczem d'Orsy, którego dotąd wogóle nie znała a który wolą rodziców przeznaczony był jej na przyszłego męża. Tu właśnie miało nastąpić pierwsze ich spotkanie, uczty, zabawy, polowania i przechadzki. Już naprzód cieszyła się królewna na to wszystko. I już widziała siebie, jak, siedząc na wspaniałym tronie w sali przyjęć, łaskawie spogląda na pięknego królewicza, który w otoczeniu wspaniałej świty, lśniącej od złota i drogich kamieni, oświadcza się o jej rękę. Ach! jakaż to będzie radosna chwila!

Wiesław Miecz (VIII.)

(ciąg dalszy nastąpi)

JAN AMBROŻY

uczeń I. klasy tutejszego gimnazjum zmarł nagle wśród zajęć szkolnych w 15-stej wiośnie życia. Odszedł na wieki do Boga z pośród nas tak niespodzianie kolega najlepszego serca i prawego charakteru, głęboko religijny, pełen zdolności i zapału do nauki, pozostawiając w sercach naszych wielki zal i serdeczną pamięć.

Obrzęd pogrzebowy odbył się w dniu 18. listopada 1935 roku.

Nad otwartą mogiłą przemówił najpierw ks. Józef Bylica, kreśląc piękną sylwetkę duchową zmarłego, imieniem grona Profesorskiego żegnał go opiekun klasy, prof. J. Eliński — a w końcu w prostych a rzewnych słowach pożegnała go imieniem młodzieży kol. Ant. Krzyszkowska z klasy I.

Pożegnał już ten świat..

Odszedłeś—
a teraz po Tobie
łzy płyną...
I dziś na Twym grobie
Myśli nasze
do Ciebie lecą...
Odszedłeś już?
I czemu?
Czy z życia porannych zórz
tak śpieszno Ci było do Boga?
Czy już nikomu
nie tęskno za Tobą?
A matka Twa—nieboga
w domu
spłakana...
złamana...

— — — — — — —

Młodości!
Ty piękna jesteś—
lecz jakże szalona,
zdradliwa,
niezgłębiona!...
O śmierci!
Potężna jesteś,
lecz jakże nagła,
nieubłagana,
cicha...

— — — — — — —

On młody, był,
Chciał żyć
i szczęściem swem żył.
Dlaczegoś go zabrała?
I teraz tylko po nim
nam boleść
pozostała...
dlaczegoś to zrobiła,
tak prędko
tak cichoś go zabiła?

— — — — — — —

O.. do Ciebie, Boże,
On poszedł.
Przed Tobą już teraz
On stoi.
Na twarzy ma smutek
—lecz się nie boi..
Jest mężny
i duchem potężny
Tyś mu rozkazał!
Poszedł!
Lecz tam.. on nieśmiertelny,
czysty,
nieskazitelny.
Tyś, Panie, mu kazał
młodemu,
piętnaście tylko
wiosen żyjącemu...

— — — — — — —

Pożegnał ten świat,
odszedł Kolega—Brat...

— — — — — — —

Bez szmeru
płyną łzy
na ziemię,
Szare się snują sny
boleści.
Jemu tam dobrze już
i cicho i spokojnie.
Nie zazna on ziemskich burz,
tak cicho tam—upojnie...

— — — — — — —

Cisza...
już poszedł..

pożegnał już ten świat
Kolega—Brat.
— — — — — — —
Nikt mu już snu
nie przerwie
i będzie śnił
jak pierwej..
— — — — — — —
Wszyscy odeszli,
wieńce zostały,
i one teraz
będą płakały.
— — — — — — —
Możeby kiedyś
Twe ręce,
dziś umarłe
zerwały się do czynu
i skronie Twe
okryły liście wawrzynu...
Lecz śmierć je zabrała
odwieczna,
stała.

Cisza.
— — — — — — —
Pożegnał już ten świat,
Odszedł Kolega—Brat.

Z. Udziela (VIII.)

Sułkowice,

ośrodek przemysłu żelaznego w powiecie Myślenickim.

Sułkowice, duża osada podkarpacka, leży w głębokiej kotlinie na głównym trakcie Lwów—Cieszyn (na jego odcinku Myślenice — Kalwarja). Otoczona jest zewsząd niższemi lub wyższemi górami. Mamy tu więc: Suchą Góre, Wielką Górę, Łysą Górę, Węgry, Ptasznicę, Groby (znane z walk konfederatów barskich pod Lanckoroną) oraz od wschodu potężny masyw Dalina. Na skraju tegoż znajduje się stercząca skała, o której tutejsi ludzie mówią, że djabeł niósł ją tędy w nocy, a ponieważ zaskoczyła go północ (wiadomo że djabłu nie wolno po północy urzędować), zostawił tę skałę tutaj — i w tem miejscu podobno „straszy".

Płyną tu również dwa „niewinne" potoczki górskie, groźne jednak niezwykle podczas ulewy, a to: Gościbia i Harbutówka, które złączywszy się na tak zwanej „Piscali" otrzymują nową nazwę „Skawinki."

Sułkowice liczą około 3.400 mieszkańców, a są jedną z najgęściej zaludnionych miejscowości wiejskich, żyje tu bowiem na 1 km² uprawnej ziemi około 350 mieszkańców. Mieszkańcy ci mniej więcej

w połowie trudnią się przemysłem kowalskim na sposób „chałupniczy", reszta zaś żyje z karłowatych gospodarstw rolnych.

Odkąd istnieje tutaj przemysł kowalski i kto go wprowadził, dokładnie nikt nie wie. Niektórzy twierdzą, że podczas budowy klasztoru w Kalwarji kasztelan krakowski M. Zebrzydowski sprowadził z Włoch różnych rzemieślników, którzy po ukończeniu swej pracy tutaj się osiedlili. Na słuszność tego przypuszczenia wskazywałyby włoskie nazwiska licznych rodzin tutejszych jak Salusów, Gallusów i in. Nie jest jednak rzeczą wykluczoną, że jakieś koczownicze plemię pielęgnujące z szczególnem zamiłowaniem zawód kowalski, usadowiło się tutaj na stałe, lub wreszcie, że któryś z królów polskich nakazał założyć tu prymitywne warsztaty kowalskie celem kucia „sprzętu wojennego". Pewien związek z przemysłem kowalskim ma i ta okoliczność, że jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego stulecia wydobywano tu rudę żelazną i wywożono do t. zw. „hamerni" w Suchej i Makowie. Dziś ruda ta nie ma znaczenia jako niskoprocentowa.

Dopóki przemysł fabryczny nie wypierał przemysłu sułkowickiego, wyrabiano tu kilkaset gatunków różnych towarów kowalskich. Wyrabiano to wszystko ze starych kotłów, szyn i t. p. Towary te szły hen, w świat, na całą Małopolskę, Śląsk, Morawy, Węgry i docierały aż do Bałkanów. W czasie najlepszej konjunktury t. j. przed samą wojną światową — dzięki niestrudzonym wysiłkom b. dyrektora szkoły zawodowej i świetnego organizatora, inż. F. Smereczyńskiego, produkcja sułkowickich artykułów żelaznych dochodziła do 200 wagonów rocznie.

Jeszcze przed kilku laty pytano o drogę do Sułkowic z Gdańska, Pomorza i Poznańskiego, dziś zaś, w dobie ogólnego kryzysu gospodarczego produkcja ta spadła do $^1/_5$-tej, a ilość wyrabianych gatunków towarów do kilkudziesięciu. Zbankrutowała też niegdyś dobrze prosperująca „Spółka kowalska", a warsztaty tejże przedstawiają dzisiaj cmentarzysko techniczne. Kowale sułkowiccy pracują przeciętnie po 14—16 godzin na dobę w najcięższych warunkach higjenicznych.

W małej kuźni (drewnianej) znajduje się miech kowalski, ognisko zwane „kominem" (właściwego kominu niema), kowadło i kilka narzędzi kowalskich. Po rozbiciu n. p. starego kotła na drobne kawałki t. zw. „śruciny" rozgrzewa je kowal w „kominie" i wraz ze swym pomocnikiem t. zw. „bijacem" wykonuje z niesłychaną zręcznością i wprawą rozmaite artykuły żelazne po śmiesznie niskiej cenie. Patrząc na ich pracę ma się wrażenie, że to pracują automaty nie ludzie. Praca kowala jest niezwykle ciężka a mało popłatna. Kowal jednak sułko-

wicki nie traci nigdy fantazji, lubi zabawę i przy lada okazji wyśpiewuje sobie:

„Dziś ja się ucieszę, dziś moja godzina,
Jutro raniuteńko staję u komina".

* * *

W Sułkowicach wykopano na gruncie Karola Flagi w głębokości 4 m pod powierzchnią ziemi dolną szczękę młodego mamuta, kopiąc glinę na wyrób cegły. Całego szkieletu nie zdołano wykopać, gdyż w międzyczasie wskutek gwałtownej ulewy runęła ziemia w ilości kilkudziesięciu m^3, zasypując miejsce, gdzie znaleziono szczękę. Prawdopodobnie Akademja Umiejętności czy inna powołana instytucja naukowa zajmie się tą sprawą.

* * *

Na podstawie spostrzeżeń i opowiadań zebrała
Stanisława Mielecka (*II. kl.*)

Z naszego życia.

Kronika harcerska. Harcerstwo polskie święciło w bieżącym roku 25-lecie swego istnienia. W jubileuszowym zlocie wziął też udział cały szereg delegacyj harcerskich z państw obcych. Do tego święta przygotowywano się już wiele tygodni przed zlotem, odbywając próby z tej dziedziny sprawności harcerskich, z jaką każda drużyna miała wystąpić na zlocie. Odbywano jakby próby generalne pod postacią obozów przedzlotowych. Drużyna nasza nie pozostała bynajmniej na szarym końcu. W dniach od 1. VII. do 8. VII. odbył się w Stróży koło Myślenic nasz obóz przedzlotowy, w którym wzięły udział 2 zastępy naszej drużyny w liczbie 18 harcerzy oraz jeden zastęp jordanowski. Komendantem przedobozia był nadzwyczaj pracowity i gorliwy hufcowy dh. dr. Fr. Wanatowicz. Specjalnością naszą było obozownictwo i samarytanka i w tych dziedzinach mieliśmy się produkować na zlocie. Kiedy skończyło się przedobozie, zwinęliśmy nasze namioty, rozbite na pięknej polanie nadbrzeżnej koło jazu w Stróży i wyjechaliśmy w tym samym składzie na zlot do Spały, gdzie zjechało się około 30 tysięcy harcerzy.

Jeśli chodzi o bilans naszych prac w Spale, to wymienić muszę: udział naszej drużyny w konkurencji obozownictwa, którego rezultatem

było otrzymanie dyplomu za sprawność naszej drużyny w tej dzie dzinie. Pozatem braliśmy udział w biegu harcerskim, w 2-dniowej wycieczce oraz w zawodach z techniki harcerskiej. Podkreślić należy również kontakt, jaki nawiązaliśmy z drużynami węgierskiemi tem skwapliwiej i serdeczniej, iż pomni byliśmy faktu, że Węgrzy na przestrzeni dziejów należeli do najlepszych przyjaciół naszego narodu. Wzajemne pożycie znalazło wyraz w serdecznym tonie, utrzymywanym na zebraniach towarzyskich pod wspólnym dachem namiotów polsko-węgierskich.

Zwiedziliśmy również pociąg wystawowy, który w tym czasie znajdował się na torach spalskich.

Na zlocie, gdzie zetknęliśmy się z całą plejadą drużyn harcerskich, mogliśmy z powodzeniem porównać rezultaty naszej pracy i wartość naszej drużyny z poziomem walorów innych drużyn.

Drużynowym naszym na zlocie był dh. dr. Wanatowicz. Miłą niespodziankę sprawił nam nasz p. dyrektor Udziela, gorący przyjaciel harcerstwa, który odwiedził nasz obóz i szereg dni tam wśród nas spędził.

Zlot żegnaliśmy z wielkim żalem za tem, co minęło, ale zarazem z wielkiem zadowoleniem, że zobaczyliśmy wiele nowych i ciekawych rzeczy i że z tego wielkiego pokazu harcerskich sił wynosiliśmy znak naszej drużyny niczem niesplamiony.

A cóż się działo w czasie wakacyj z tymi druhami, którzy nie mogli wziąć udziału w zlocie? Otóż zorganizowali oni sobie kilkudniową wycieczkę do Lubomierza pod przewodnictwem dh. Jana Koniecznego.

Po powrocie ze zlotu dokonano reorganizacji naszej drużyny. Pozostaje to w związku z egzaminem dojrzałości, do którego większa część dotychczasowej rady drużyny przystępuje.

Tak więc w miejsce bardzo zasłużonego dla rozwoju naszej drużyny dh. J. Oczki obowiązki drużynowego objął dh. Wiesław Szumski. Ponadto zastąpiono dotychczasowych funkcyjnych innymi.

Nowa rada drużyny pracuje z wielką intenzywnością na mocy programu na rok 1935/6. Hasło tegoroczne naszej drużyny brzmi: bądź punktualnym!

Życie harcerskie ogniskuje się we własnej świetlicy, która została przeniesiona z budynku bursy do budynku filji gimnazjalnej.

Kronikarz drużyny.

Z żeńskiej drużyny harcerskiej. Pamięć patronki naszej drużyny ś. p. Prezydentowej Michaliny Mościckiej uczciłyśmy w dniu 29. IX. 1935 r. — jako w dzień Jej imienin uroczystem „Ogniskiem“.

Na sali panuje półmrok. Płonie watra — a przy niej skupiona masa szarych mundurów. Z ust wyrywa się potężna pieśń harcerska, która uderza o sklepienie, odbija się i leci hen, w nieskończoność, „nad pola, lasy, miasta i wioski“. Potem w uroczystej gawędzie padają słowa o Tej, której postać świetlaną obrałyśmy sobie za wzór do naśladowania, a zwłaszcza Jej owocną pracę na polu społecznem. Gawędę kończą słowa przyrzeczenia, że trud pracy naszej Patronki poprowadzimy zwycięsko dalej, zawsze wierne Jej ideałom.

Wreszcie pewne urozmaicenie w formie dwóch ładnie wykonanych rytmicznych obrazków tanecznych, wesoła scena w ambulatorjum lekarskiem i piosenka dzikich Indjan, wszystko przyjęte przez licznie zgromadzoną publiczność szczerem uznaniem i salwami oklasków. Naszym wzniosłym hymnem harcerskim zakończyliśmy program ogniska.

W. L.

Z życia Sodalicji męskiej. Z końcem ubiegłego roku szkolnego zaszły w zarządzie Sodalicji męskiej gruntowne zmiany. Prefektem został niemal jednogłośnie obrany kol. Stanisław Cygan (VIII.), wiceprefektem a zarazem instruktorem kandydatów kol. Władysław Banach (VII.), drugim asystentem i instruktorem Róży kol. Jan Konieczny (VII.), przewodnikiem Kółka misyjnego kol. Stefan Ćwierz (VII.), przewodnikiem Kółka abstynentów kol. Wiesław Szumski (VII.), bibljotekarzem kol. Karol Syrek (VIII.), sekretarzem kol. Stanisław Wincenciak (VIII.) —

W celu podniesienia czytelnictwa wyznaczyła nasza Sodalicja, posiadająca własną znaczną bibljotekę, trzy nagrody w postaci kompletów dzieł naszych trzech wieszczów, dla tych z pośród swoich członków, którzy w przeciągu roku szkolnego wypożyczą i przeczytają największą ilość książek z sodalicyjnej książnicy. Kierownikiem jej jest niezmordowany w pracy kol. Syrek. W związku z powyższym konkursem wybrano osobną komisję, mającą za zadanie stwierdzać, czy wypożyczane książki są istotnie przez uczestników konkursu gruntownie czytane. —

W dniu 11. listopada wystawiła Sodalicja sztukę prof. Bergela: „Z trudu naszego i znoju“, o czem dokładniejsza wzmianka znajduje się poniżej, w sprawozdaniu z obchodu 11. listopada.

Wycieczki szkolne. Korzystając z pięknej jesieni urządziliśmy w okolice Myślenic klasowe wycieczki, które przyniosły dużo uciechy i zadowolenia. Z nadesłanych do redakcji „Głosu Młodych" sprawozdań wybieramy i podajemy dla przykładu opowiadanie jednego z kolegów klasy VII. o wycieczce na Chełm:

Godzina 8·30. Z pod gimnazjum wyruszają dwie grupy studenterji. Jedna kieruje się w stronę Dalina, my zaś (kl. VII.) na Chełm. Pogoda prześliczna, na niebie ani śladu chmur, więc idziemy wesoło podśpiewując. Miny mamy wszyscy jak najlepsze, żadna troska nie zajmuje naszych umysłów, więc śmiejemy się i dowcipkujemy np. na temat kolegi, który pomieszał logarytmy z Longobardami lub jednego z panów profesorów, który skarżył się „że klasa chodzi po klasie i nie zwraca uwagi na moje uwagi".

W takim nastroju doszliśmy do podnóżą Chełmu. Dalej w górę ścieżką — gęsiego! Na szczycie spotkał nas lekki zawód, bo najpiękniejsza polanka została zorana a obecnie ludzie kopali tu ziemniaki. Lecz wnet znaleźliśmy inną i po krótkim posiłku — dalejże w tany przy patefonie. W tej chwili kilka koleżanek ostentacyjnie opuściło nasze grono, lecz na złość im prawie ich braku nie zauważyliśmy i bawiliśmy się jak najlepiej. Prawdę mówiąc nadrabialiśmy trochę miną, bo na trawie tańczyło się bardzo ciężko.

Koło południa zauważywszy, że z północy nadchodzi największy wróg wycieczek, deszcz, bez zwłoki popędziliśmy do wsi. Wprawdzie ów wróg, widząc nasze zmartwione oblicza, zrobił się dżentelmenem i poszedł w inną stronę, lecz nie wróciliśmy już na poprzednie miejsce i urządziliśmy sobie różne zabawy ruchowe przy domu jednego gospodarza na trawniku, jak w „starego kawalera", „oczkowanie", „miasta i wsie" i in. Niewyczerpaną w projektach tych zabaw okazała się p. prof. Niesiołowska, kierowniczka całej tej wycieczki. Chcąc wyzyskać jeszcze ostatnią godzinę przed zmierzchem, poszliśmy do izby tego gospodarza, którą przez 2 godziny przedtem wietrzyliśmy. Tu nowy, przykry zawód, bo patefon się zepsuł. Lecz siódmakom zawsze szczęście sprzyja, więc i tu gospodyni przyznała się, że ma patefon. Po długich naszych naleganiach wywlokła go wreszcie gdzieś z pod siana. Każda część nieszczęsnego instrumentu była osobno. Nasi mechanicy jednak w lot to wszystko zmontowali (który to wyczyn p. Niesiołowska nazwała ósmym cudem świata). Wprawdzie wymagał patefon dwóch ludzi do stałej obsługi, jednego do trzymania trąby, drugiego do obracania korbką — lecz, co najważniejsza, grał

i tany mogły się zacząć. Nie na długo, bo wkrótce pani profesorka poczęła przynaglać do powrotu. Bawiliśmy się jeszcze chwilę, a potem odtańczywszy fantastycznego poloneza, ruszyliśmy w drogę powrotną rozbawieni — przez las pełny już mroku.

Gdy żegnaliśmy się z p. prof. Niesiołowską, oświadczyła nam, że jest oczarowana wycieczką i zachwycona pięknem zachowaniem się klasy, co zresztą z góry było do przewidzenia. *Riese (VII.)*

Uroczystość 11. Listopada. Poza naszym udziałem w ogólnym obchodzie Święta Niepodległości, urządzonym przez Miejski Komitet w Myślenicach, przygotowaliśmy własny, szkolny poranek w sali Strażnicy. Słowo wstępne wypowiedziała kol. W Trojanowska (VI.), okolicznościowy wiersz oddeklamowała — jak zwykle z uczuciem — kol. A. Wołochówna (VI.), a zespół dramatyczny (kol. R. Hirkawska (VI.), koledzy J. Kaciński, M. Fudali i W. Skawiańczyk z kl. VII., kol. Orlicki (VI.) i kol. Mikołajczyk (II.) wykonał inscenizację poematu: „Ostatni raport". Resztę programu wypełniły produkcje chóru pod batutą prof. Wołocha. Radosny zwyczajnie nastrój tego Święta zasnuty był w tym roku cieniem żałoby, gdyż pierwszy raz w Polsce odrodzonej obchodziliśmy Święto Niepodległości bez ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Toteż nuta serdecznego żalu przewijała się przez cały program poranku niby kir czarny, rzucony na rozradowane wolnością serca. Przygotowaniem tego poranku kierowała gminna komisja obchodowa. —

Uroczysta akademja wieczorna, urządzona z ramienia Miejskiego Komitetu Obchodu w sali „Sokoła", odbyła się również wyłącznie siłami naszego Zakładu. Przemówienie wstępne wygłosił prof. L. Werschler, poczem zespół dramatyczny naszej Sodalicji odegrał 3-aktową sztukę dramatyczną prof. Rajmunda Bergela p. t. „Z trudu naszego i znoju". Rzecz ta, pięknym napisana wierszem, była w ten sposób tutaj, w rodzinnem mieście autora, znanego poetę legjonowego, po raz pierwszy grana. Nasz zespół sodalistów wystawił też ją z całym pietyzmem, zyskując szczery poklask publiczności, wypełniającą salę szczelnie—jak rzadko. Akcja oparta jest o historyczny epizod z walk Żelaznej brygady, o zajęcie Sołotwiny przez gen. Roję, w których to walkach autor brał osobisty udział.

Z pośród naszych amatorów — artystów na szczególniejsze wyróżnienie za piękne wywiązanie się ze swych trudnych ról zasłużyli kol. Z. Udzielanka, koledzy Cieliński, Chorąży, Leś i Ptak.

Z działalności Gminy szkolnej. W bież. roku szkolnym odbyło się 5 posiedzeń Głównego Zarządu naszej Gminy Szkolnej pod przewodnictwem naczelnika kol. J. Lelity. Na posiedzeniach tych przeprowadzono szczegółową dyskusję nad projektem regulaminu dla gmin klasowych na podstawie referatu kol. Z. Ogorzałówny. Nowy ten regulamin uchwalono na posiedzeniu w dniu 12. XI. 1935 r. — Na posiedzeniu w dniu 14. IX. uchwalono zrzec się przypadającego na rzecz gminy udziału w zyskach sklepiku harcerskiego z powodu jego małej rentowności i ewentualny dochód pozostawić w całości drużynie harcerskiej. — Najgorliwiej zajmował się na tych zebraniach Gł. Zarząd Gminy sprawą rozciągnięcia intenzywnej opieki nad biedną dziatwą szkolną w Stróży. Postanowiono akcję tę, rozpoczętą w ubiegłym roku, spotęgować zwłaszcza obecnie, wobec nadchodzącej zimy i coraz gorszych warunków życiowych. Wykonanie szczegółowych w tym względzie uchwał oddano w niezawodne ręce kol. Ostafinówny, przewodniczącej gminnej komisji opieki społecznej.

Z działalności gminnej komisji opieki społecznej. Wynik wrześniowy zbiórki darów dla biednej dziatwy szkoły powszechnej w Stróży był następujący: 60 zeszytów, 32 ołówki, 27 stalówek, 20 rączek, 18 gum, 5 piórników, 6 kątomierzy, 2 pudełka kredek, 2 kałamarze, 2 ekierki i w gotówce zł. 32.66, za którą to kwotę zakupiono 31 podręczników szkolnych dla klas od I. do V. — Dary te zawiozła do Stróży z ramienia Gminy szkolnej komisja opieki społecznej w osobach kol. kol. J. Ostafinówny, M. Nagawieckiej, K. Syrka i St. Wincenciaka w dniu 30 IX. 1935. Obdarowano niemi 56 najbiedniejszych dzieci.

Druga zbiórka listopadowa dała w rezultacie kilka sztuk odzieży i gotówkę 20 zł., za którą kupiono przybory szkolne i słodycze na upominki „mikołajowe". W dniu 6. grudnia br. Komisja Opieki Społecznej urządziła w szkole w Stróży wesoły wieczór św. Mikołaja dla całej tamtejszej dziatwy szkolnej. Drużyna harcerska żeńska powtórzyła tu grany poprzedniego dnia w Myślenicach obrazek sceniczny układu b. uczenicy tut. St. Hirkawskiej p. t. „Święty Mikołaj wśród dzieci," poczem św. Mikołaj (kol. Trybus z kl. VII.) rozdał najbiedniejszym dzieciom upominkowe pakieciki, całą zaś resztę dziatwy obdzieliliśmy cukierkami. Nieopisana była radość wiejskich chłopaczków i dziewczynek.

W tej miłej i szczytnej pracy społecznej nie spoczywajmy, Koleżanki i Koledzy!

Wszelkie upominki i datki pieniężne prosimy składać do rąk kol. Ostafinówny z kl. VII.

Ze Straży Przedniej. Tegoroczny obóz S. P. odbył się w dniach od 15. VII. do 10. VIII. w Krempnej koło Jasła, miejscowości, położonej nad brzegami Wisłoki. Celem obozu było bliższe zaznajomienie uczestników z ideologją S. P., z pracą realizacyjną i samokształceniową oraz współżycie uczestników.

W obozie uczestniczyło około 200 „strażowców" wraz z instruktorami pod komendą Naczelnika, prof. Marca.

Porządek dzienny naszych zajęć był następujący: rano — pobudka gimnastyka, apel poranny, modlitwa i śniadanie. Później odbywały się odprawy wzgl. wykłady instruktorów i dyskusja. Popołudniu gry i zabawy, zajęcia obozowe i praca realizacyjna. Wieczór urządzaliśmy często ogniska, będące wyrazem młodzieńczego humoru a zarazem okazją do nawiązania łączności z miejscową ludnością i zainteresowania ją ogólnemi sprawami Polski. Wprawdzie trudno to nam przychodziło, gdyż przeważa tam żywioł ruski, odnoszący się z pewną obojętnością do Polski wskutek wytężonej agitacji ukraińskiej. Jednak przez wycieczki, mające na celu nie naszą osobistą przyjemność lecz pomaganie ludności w zbiorach, rozmowy z nią oraz uprzejmy do niej stosunek, staraliśmy się, aby antagonizm narodowościowy, który zresztą nie występuje tutaj w jaskrawej postaci, zacierać. Szczególnie owocna była praca z dziećmi, które bardzo słabo mówiły po polsku. Przywabiając je do obozu różnemi zabawami, uczyliśmy je nietylko języka państwowego i pieśni polskich, lecz wpajaliśmy w ich młode umysły poczucie państwowości polskiej, pamiętając o haśle: „Kto ma młodzież ten ma wszystko".

Pobyt w obozie płynął w harmonji koleżeńskiego współżycia do tego stopnia prędko, że wprost nie chciało się wierzyć, gdy nadszedł 10. sierpnia, że trzeba już wracać do domu.

Przerwało się codzienne współżycie uczestników, lecz nie przerwały się nici zadzierżgniętej przyjaźni. Pozostały też uczucia głębokiego szacunku i wdzięczności dla naczelnika prof. Marca i instruktorów.

S. Zięba (VII.)

Z Koła krajoznawczego. Z bieżącym rokiem szkolnym zreorganizowano i postawiono na nogi Koło krajoznawcze, którego opiekunem jest obecnie p. prof. Głowacki. Koło, to liczące, w poprzednim roku zgórą 10 członków, wzrosło obecnie do poważnej liczby około 100 członków.

Zreorganizowano również cały program działalności, wprowadzając istotne momenty, właściwe związkom krajoznawczym. Planuje się odbycie w najbliższym czasie szeregu wycieczek, mających na celu zaznajomienie członków Koła z pięknością i wartością polskiego krajobrazu. Wielkie zainteresowanie budzi zwłaszcza projektowana wycieczka do Lwowa.

Wesoły kącik.

„Trza" się obejść.

(humoreska regjonalna)

Cicho bulgotał strumyczek, przelewając swą perlistą wodę pomiędzy skałami i nucił smętną piosenkę i gwarzył.

Takie też smętne myśli snuł Jasiek, co siedział na sterczącej skale nad strumieniem. Owce, które pasł, cięgiem się od niego oddalały, a głos dzwonków milknął coraz bardziej.

Jaśkowi musiało być ciężko na duszy, bo raz po raz wzdychał i miłosnym wzrokiem oglądał może już nawet raz ostatni cudny widok który się przed nim roztaczał. Rozumiał zresztą mowę natury, bo ona go wychowała na swem cudnem łonie, tu na halach. Upajał się zapachem żywicy drzew, wciągając w swe zdrowe płuca powietrze — a wokół szumiały sosny i świergotały ptaki.

Wiedział Jasiek, że musi wnet opuścić te swoje hale, rodzinny dom i wioskę i iść do szkoły, bo go „ociec zapisali do gimnazyje". Siedział i rozmyślał, jakie będzie jego nowe życie.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo tak siedział, ale kiedy zbudził się z zadumy — owiec już nie było. Zaczął szukać, gwizdać na palcach i wołać, a kiedy nie mógł ich znaleźć przyszedł do „chałpy".

„Jasiek, kaz owce?" pyta ojciec

„Straciły se".

„No to jakze bedzie?"

„Pewnie trza sie bedzie obejść" odpowiada Jasiek z filozoficznym spokojem.—

Z ciężkiem sercem opuścił Jasiek ubogą wioskę i poszedł się uczyć. Sąsiedzi radzili mu, żeby nie chodził do gimnazjum, „bo teroz takie casy, ze lepi owce paść", ale jak ociec powiedzieli, że Jasiek

musi być „pon mecenos", więc Jasiek się zgodził.

Gdy przyszedł do szkoły, oglądał ciekawie każdą rzecz i musiał się jej dotknąć. Chodził ze spuszczoną głową, bo nie mógł się przyzwyczaić do nowego otoczenia. Ile razy po skończonej lekcji odzywał się dzwonek, Jasiek widział na hali trzodę owiec z dzwonkami u szyji, a gdy uczniowie wchodzili do klasy, to myślał, że u nich tak wchodzą owce do „corka".

Dobrze mu się zresztą powodziło, bo mu „oscypki" przysyłali z domu, żeby głodu nie miał, a przykazywali mu, aby naukę „ciągiem" miał w głowie. Więc Jasiek uczył się, ile zdołał.

Pewnego razu kiedy profesor zawołał go przed mapę i kazał mu pokazać Amerykę, odpowiedział, że niema.

„A więc jak będzie z tą Ameryką?"

„Trza się będzie obejść".

St. Kiczmal (VI.)

Na lekcji fizyki. Profesor fizyki tłumaczy uczniom, że ciała pod wpływem ogrzewania rozszerzają się, a pod wpływem zimna się kurczą. A potem pyta: „No Ośliński, daj mi przykład na rozszerzanie się ciał pod wpływem ogrzewania a kurczenie się pod wpływem oziębienia.

Ośliński: „y, y, y, y—wakacje!

Profesor: Co??!

Ośliński: Tak, wakacje. Bo w lecie, gdy jest ciepło, rozszerzają się, trwając aż dwa przeszło miesiące, a w zimie kurczą się do dwóch zaledwie tygodni.

T. Święch (III.)

Walka z pesymizmem.

Młodzież, a szczególnie młodzież szkolna, jest najczęściej poddawana ostrej krytyce społeczeństwa. Widzi się u niej przeważnie wady, niedociągnięcia i te się potępia, oszczędza się natomiast uznania. I to jest często powodem, że młodzież zniechęca się do życia, czuje gorycz i żal do swych krytyków, buntuje się, domagając się przytem od ogółu społeczeństwa życzliwego ustosunkowania się. Życzyłaby sobie, aby ją sądzono łagodnie, spokojnie, nie powodując się podnieconemi nerwami. My ze swej strony wzmożeni na siłach, zdobytych w czasie feryj zimowych staniemy nieodwołalnie do walki z wszelkiemi

niesłusznemi zarzutami, do walki, polegającej na starannej pracy i grzecznem obejściu się względem otoczenia, przez co unikniemy powodu do przykrych dla nas zarzutów i okazji wpajania w nas zgubnego pesymizmu. — Dla społeczeństwa jako całości, a zwłaszcza dla młodzieży, niema większego niebezpieczeństwa ponad ten stan psychiczny, jakim jest pesymizm. W jego atmosferze trudno jest liczyć na przyrost silnych charakterów, mądrych głów i gorąco kochających serc. Natomiast trzebaby przewidywać, że rychło moglibyśmy wrócić do typu apatycznego i obojętnego na wszystko obywatela.—

Ponieważ naczelnem zadaniem dzisiejszego wychowania jest urobienie i wychowanie typu nowoczesnego, wolnego, interesującego się życiem Polaka, twórczego, świadomego swych obowiązków, musimy wszystkie w tym kierunku wytężyć siły, aby przedewszystkiem uchronić się przed rozkładowem działaniem pesymizmu, a natomiast wznowić w sobie źródło żywej wiary we własne siły i w rezultaty swej pracy. Laseccnik bowiem tej „małej wiary“ jest największym nieprzyjacielem czynnego i twórczego życia. On to sprawia, że ludziom ręce opadają i że rezygnują oni nawet z tego, co ani nie jest niemożliwe ani trudne do osiągnięcia. On wytwarza to poczucie bezradności i lenistwa woli, których objawy spotykamy na każdym kroku.

Ta walka z pesymizmem udać się może o tyle łatwiej, że zabieramy się do niej w chwili, kiedy powróciliśmy z feryj zimowych, wypoczęci, o zdrowych i uspokojonych nerwach, o jaśniejszych myślach.

Nie dopuśćmy zatem trucizny pesymizmu do tych odświeżonych serc i dusz. Niech zachowają one nietylko jaknajdłużej świeżość, ale niech jednocześnie wniosą do atmosfery szkolnej, która ma je wychować, swoją młodą ochotę do życia i wiarę w to życie, niech szerzą dokoła siebie zdrowie i tę pewność, że pesymizm, ta tak powszechna dzisiaj choroba społeczna nie rzuci się na te zdrowe organizmy i nie zaszczepi im swojego jadu.

Jerzy Kaciński (*VII.*)

Wspomnienia.

Zapewne często masz godziny takie, w których zapominasz o szarem życiu codziennem, jego smutkach lub rzadkich przebłyskach radości a wgłębiasz się z zadowoleniem i rozrzewnieniem w dawne lata

w beztroskie dnie dzieciństwa, pełne słodkiej opieki matczynej. I przypominają ci się pierwsi twoi towarzysze zabaw — trudno ci nawet czasami wygrzebać z pamięci ich imiona — uzmysławiasz sobie, co przeżywałeś, widząc poraz pierwszy podarki, leżące pod choinką...

Prawda, że pewien żal sprawia ci obecna świadomość, iż to nie aniołek przynosi drzewko, że nie jest tak dobrze, jak było w dzieciństwie, że innemi oczyma patrzysz teraz na świat?

A czy pamiętasz moment, w którym znalazłeś się poraz pierwszy w nieznanych ci dotąd murach szkolnych? Dookoła ciebie obce twarze... niektóre pełne strachu przed czemś nowem... obserwujesz małego chłopczyka w pierwszej ławce, w bronzowem, aksamitnem ubranku i... nagle postanawiasz sobie, że on będzie twoim przyjacielem, że on musi nim być. Mówisz sobie w duchu, patrząc uporczywie na ciemną, paziowską główkę: będę się z tym chłopczykiem bawił na pauzach, będę się z nim dzielił swem jedzeniem, będziemy razem łapali traszki, motyle, ćmy...

A potem — jak jasno zarysowują się przed tobą obrazy chwil, spędzonych z twoim małym przyjacielem... cudne, słoneczne, lipcowe dnie, w których urządzaliście sobie samodzielne wyprawy nad rzekę i tam, nad jej brzegiem budowaliście z piasku niezdobyte fortece... Czyż nie widzisz dokładnie tych łąk błyszczących od rosy, z których płynął zapach koniczyny, — lub wysokiej, soczystej trawy, w której zanurzałeś się zziajany, odpoczywając po długiej walce Indjan, marząc o prawdziwej szabli i mundurze?...

Prawda, że czasem myślisz o tych błogich chwilach, minionych bezpowrotnie?

— — — — — — — — — — — — — — — —

Byłem w VI. powszechnej. To nie byle co, według mego ówczesnego mniemania. Już w tym czasie uważałem się za dorosłego — a w każdym razie chciałem koniecznie nim być. Należałem od dwóch lat do harcerstwa, w którem pracowałem z prawdziwym zapałem. Przyznaję, że znacznie więcej czasu niż nauce poświęcałem temu najnowszemu memu zainteresowaniu, (gdyż manja zbierania znaczków i czytania powieści Maya zaczęła już mijać). No — pracowałem społecznie — zupełnie, jak dorośli! Prędko uporałem się ze stopniami i różnorodnemi sprawnościami, złożyłem przyrzeczenie, ale krzyża nie mogłem się doczekać. Niektórzy zazdrościli mi tej tak szybko zrobionej „karjery“ w harcerstwie, mówiąc: ale ty, Jurek, masz do wszystkiego szczęście!

Uśmiechałem się — w gruncie rzeczy nie byłem tak bardzo szczęśliwy, ale nie musiałem o tem każdemu bębnić.

Bardzo cieszyły mnie i interesowały zbiórki, lubiłem ćwiczenia polowe — jakieś podchody — zawsze było w tem coś tajemniczego, Byłem nawet przez pewien czas zastępowym, miałem nieco niesforny zastęp, ale pomimo wszystko byłem bardzo do niego przywiązany.

Ponieważ, jak już wspomniałem, wiele wody upłynęło, zanim doczekałem się krzyża, dlatego też nic dziwnego, że owa zbiórka drużyny, na której mi go uroczyście przypięto, do dnia dzisiejszego stoi mi wyraźnie przed oczyma.

Pamiętam — szedłem na tę zbiórkę ze swym drużynowym, Zdzichem. Nic kompletnie nie przeczuwałem — aż tu on zaraz po raporcie podszedł do mnie i nim się spostrzegłem, przypiął mi krzyż oraz powiedział jakąś małą mówkę. Oczywiście nic nie słyszałem, co i jak powiedział. Czułem się wówczas tak szczęśliwy, że szczęście odebrało mi chyba połowę mojej przytomności. Co chwila patrzyłem na krzyż, na jego połysk, zastanawiając się nad tem, czy on już naprawdę do mnie należy? Czy jest czemś materjalnem? Czy to przypadkiem nie wizja lub sen? Moc myśli i uczuć nie dających się opisać, kotłowało we mnie.

Po odzyskaniu dawnej równowagi spoglądałem z dumą na swoich towarzyszy. Znów wyczytałem w ich twarzy: „Jaki on szczęśliwy" — i tym razem przyznałem im słuszność. *Jurek.*

Od Redakcji.

A więc „Głos Młodych" redivivus! Wydajemy dzisiaj za całe półrocze szkolne ten pierwszy zeszyt naszej gazetki. Dlaczego tak późno? Wieleby o tem można pisać rzeczy przykrych. Jedna z koleżanek przysłała nam bardzo cierpkie i bolesne uwagi pod adresem naszej młodzieży o „słomianym ogniu". Nie drukujemy ich, by nie psuć w tym, mimo wszystko przyjemnym dniu, nastroju. Wzywamy tylko gorąco wszystkie Koleżanki i Kolegów do stałej i gorliwej współpracy. Wszak gazetka nasza zabarwi nam i umili życie szkolne i dla naszego samokształcenia się wielkie przyniesie korzyści. —

Artykuły niedrukowane są albo zbyt słabe (prosimy o lepsze!) albo z powodu późnego wydania numeru straciły swoją aktualność.

Komisja redakcyjna: *A. Leś, L. Broszkiewicz, Z. Polończykówna, Z. Ptak, J. Kasprzyk, Wł. Sala.*

Opiekun: *prof. Ludwik Werschler.*

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.